Lwów 1899.

Zamiast Nr. 33.

„GOŃCA i ISKRY"

Dodatek nadzwyczajny.

Tajemniczy dziad.

Zdarzenie prawdziwe z roku 1863.

Napisał

Al. Milerowicz.

I.

Było to w jesieni roku 1863 — owego to, tak pamiętnego roku dla serc polskich, w którym nieszczęśliwa, ręką zbirów carskich gnieciona Polska, w oburzeniu i rozpaczy za broń przeciw ciemiężcy chwyciła.

Obywatel S., właściciel pięknej włości w zakordonowej Polsce nad uroczą Wisłą położonej, powrócił właśnie z jednej z tych nieszczęśliwych wypraw, których niestety tyle z roku tego zapisano. Oddział powstańczy, którym pod przybranem nazwiskiem dowodził, został przez dowódcę moskiewskiego osławionego Czengyerego trzykroć silniejszą masą otoczony i mimo nadludzkiego męztwa, rozbity. Naczelnik oddziału p. S., zaledwie zdołał ujść szczęśliwie z wiernie mu towarzyszącym we wszystkich najniebezpieczniejszych wyprawach starym sługą Maciejem i zdążył bez przeszkody do swej włości, by na łonie ukochanej żony i córki, po tylu znojach odpocząć i świeżych sił moralnych i fizycznych do dalszych zapasów z wrogiem, zaczerpnąć.

Czengyery spostrzegłszy, że dowódca oddziału rozbitego, na którego oddawna już swe tygrysie zęby ostrzył, chcąc się na nim za to, iż mu się nie raz dał dobrze we znaki, zemścić — uszedł szczęśliwie — polecił ostro jak najpilniejsze śledzenie za nim po sąsiednich okolicach, obiecując temu, ktoby go do rąk jego dostawił, znaczną nagrodę.

Pan S. spodziewając się tego, ukrywał się w swoim domu tak doskonale, że prócz żony, córki i starego, wiernego Macieja, nikt nie tylko z sąsiadów, ale nawet z domowników o pobycie pana we dworze nie wiedział.

W nocy z 15. na 16. października tegoż roku, silna zgraja posiepaków mongolskich, zwana kozakami carskimi, pod dowództwem majora, obstąpiła znienacka naokoło dwór p. S., a powiązawszy najpierw służbę dworską i folwarczną, wpadła do dworu.

Opisywać tej przerażającej sceny, tego, co się w duszy i w sercu żony i prawej polki na ten okropny widok działo, nie będę; niemasz bowiem pióra lub pędzla, któryby wiernie to oddał. Wolę więc wprost przystąpić do rzeczy.

Pijana tłuszcza kozaków rzuciła się z wyciem i słowy przekleństwa po salonach, a natrafiwszy na samego pana S. ukrytego w bibljotece, wydała dziki okrzyk radości. Związano go natychmiast, panią i na wpół nieżywą pannę S. skuto jedną do drugiej za rękę, nie szczędząc im przytem najobelżywszych słów i najnikczemniejszych żartów. Wyprowadziwszy ich do przyległego parku, zrabowano co kosztowniejsze, zniszczono co piękniejsze, a na ukoronowanie szatańskiego dzieła, podpalono pałacyk na wszystkie cztery rogi.

Przy jaskrawym blasku pożaru, wznoszącego wysokie słupy dymu ku obłokom, jakgdyby takowe miały przebić niebios powłokę i swoim widokiem wzruszyć samego Boga — biesiadowała dzika banda kozacka przez noc całą, a po ukazaniu się zorzy porannej, wyruszył ten prawdziwie piekielny pochód do obozu Czengyerego, który o 15 wiorst ztąd był odległy, uprowadzając z sobą trzy nieszczęśliwe ofiary!

Uradowany tą zdobyczą Czengyery, nie pozostawił długo nieszczęśliwych jeńców w niepewności. Zaraz drugiego dnia ogłoszono im wyrok wojenny, skazujący pana S. po pozbawieniu go wszelkich praw stanu i skonfiskowaniu majątku na rzecz rządu — na śmierć — a panią S. za przechowywanie go w domu w tajemnicy, na 10 lat na Sybir. — Nieszczęśliwa i zrozpaczona córka, mimo wszelkiego wstrętu do zanoszenia próśb przed wroga ojczyzny, postanowiła ponieść tę ofiarę i prosić osobiście satrapę moskiewskiego o złagodzenie kary nieszczęśliwym rodzicom.

Czengyery ujrzawszy Olgę, która słynęła w całej okolicy z urody, odrzekł jej krótko:

— W tej chwili zawisł los rodziców pani, od niej samej. W twej mocy uwolnić ich. Poświęć mi się za nich, a wydam wam natychmiast kartę wyjazdu, dokąd zażądacie. Pani mię już zrozumiałaś?...

Ta niezwykła nikczemność dzikiego mongoła oburzyła biedną Olgę do tego stopnia, iż w pierwszej chwili odeszła prawie od zmysłów. Opamiętawszy się jednak wkrótce, zmierzyła ostrym zwrokiem nikczemnika i odpowiedziała mu z powagą:

— Podły Moskalu!! — wydrzesz mi ojca i matkę, ale honoru polki mię nie pozbawisz!

Rozwścieklony tą wzgardą i wyższością polskiej dziewicy, kazał ją rózgami osiec, a aby jej i matce tem srodzej serce zranić, w ich przytomności pana S. rozstrzelać. Drugiego dnia po tej okropnej egzekucji, wdowa i sierota były już w drodze do Syberyi.

Silić się na opisanie ich podróży i życia, jakie wiodły te męczennice polskie w Syberji, w tej prawdziwej skarbonie łez i kości polskich, o której wiernych kopii w ostatnich czasach tyle nam nakreślono — byłoby zbytecznem.

Nić cierpień pani S. przerwał Bóg, widząc sam ich nadmiar, już po kilkunastomiesięcznym jej tamże pobycie. Znieść tyle okropnych ciosów, jeden po drugim w nią godzonych, nie mogło ciało, choćby je może zniósł hart duszy. Upadała coraz więcej na zdrowiu, a dnia 25. maja 1865 r., w sam dzień jej imienia, złączyła się ta szlachetna dusza z wzniosłą duszą męża. Mała garstka wygnańców polskich i sierota Olga, odprowadzili święte zwłoki męczennicy polskiej, tej niepierwszej ofiary dzikiego barbarzyństwa do grobu, z którego na sądzie ostatecznym powstanie jeden świadek na dowód, że wiek XIX pozwalał dzikiemu tatarstwu gospodarować samowładnie w środku ucywilizowanej Europy. Lecz dosyć już tych uwag, rzućmy lepiej na oddaloną od nas mogiłę tej ofiary choć myślą grudkę ojczystej ziemi z westchnieniem: „Cześć jej pamięci".

Olga bez ojca, bez matki, postanowiła bądź co bądź, dążyć z powrotem do ojczyzny. Nie mówiąc o swoim zamiarze nikomu i nie żądając na to od nikogo pozwolenia — prawdziwym cudem Opatrzności przybyła bez przeszkody do Krakowa. Tu postanowiła poświęcić się służbie zakonnej i wstąpiła do SS. Miłosierdzia, zostając pod przybranem imieniem zakonnem Siostry Dominiki, w jednym z klasztorów tegoż zgromadzenia, w okolicy Krakowa się znajdującym.

II.

W klasztorze, w którym znaną nam już dawniejszą pannę Olgę, a dzisiejszą siostrę Dominikę znachodzimy, siadywał zwykle w progu bramy kościelnej jakiś od 3 lat tu z niewiadomych stron przybyły żebrak, na którego grubo fałdami pokrytej twarzy, obraz jakiegoś niepokoju i wewnętrznego ciężkiego cierpienia się przebijał. Zawsze smutny i zadumany, nie wdający się z nikim w rozmowę, nie składał nikomu za otrzymaną jałmużnę słów dziękczynienia, kiwnął tylko od niechcenia zwieszoną na piersi głową. Na tajemniczej postaci tej, dostrzedz można było, gdy powiew wiatru żebracze łachmany zeń odwinął, mały kosztowny złoty krzyżyk na szyi.

Dziad ten, zmienił się znacznie od dnia przybycia siostry Dominiki do klasztoru. Twarz jego wyżółkła, zdawała się tem więcej kurczowo wykrzywioną, oczy jego przybrały wyraz obłąkańszy, ponurość osiadła mu gęstszą na czole chmurą.

Od pierwszej chwili ujrzenia nowej zakonnicy i po dowiedzeniu się od kościelnego o jej przeszłości, dziad ten okazywał siostrze Dominice oznaki szczególniejszego przywiązania i szacunku, a jeśli czasem nie mógł dosięgnąć jej ręki, to bodaj rąbek sukni musiał ucałować.

Siostra Dominika, odwdzięczając to przywiązanie żebraka, pamiętała też o nim zawsze i nie było dnia, by go jałmużną nie obdarzyła. Pewnego dnia spostrzegła, że dziadka tego nie było w progu kościelnym i przypomniała sobie, że go już od kilku dni nie widziała. Jęła się on wypytywać, gdzieby był i gdzie mieszka? Dowiedziawszy się o jego mieszkaniu, postanowiła odwiedzić go i udała się w tym celu do pobliskiego sioła, w którem tenże w lichej chacie borowego przesiadywał. Zapukała do drzwi, a cichy słaby głos odezwał się z wnętrza.

Wszedłszy do niskiej, walącej się izby, zastała w niej znanego nam dziada na łożu boleści. Chory podniósł się, a ujrzawszy ją, zawołał drżącym głosem.

— O! wielebna siostro! jakąż łaskę wyrządzasz mi, biednemu żebrakowi, niegodnemu nędzarzowi, iż przychodzisz mię odwiedzić.

— Wszak to naszym obowiązkiem. dziaduniu, być tam, gdzie się znachodzi człowiek nędzą i chorobą przygnieciony!

— O! wielebna siostruniu — mówił dalej żebrak, widocznie mocno wzruszony — nie mów do mne tak łaskawie, bom tego niegodny. O! ja przeklęty od Boga i ludzi, niegodnym tego...

— Bóg z wami, staruszku! — odrzekła łagodnym głosem zakonnica — tak mówić się nie godzi. Jeśliście w życiu waszem popełnili jaki grzech ciężki, to żałujcie, a Bóg miłosierny wam pewnie odpuści. Chyba, że za grzech ten nie żałujecie?

— O! czy ja żałuję?... czy ja żałuję?... Od trzech lat już leję dzień i noc gorzkie łzy żalu i pokuty, już mi i łez nie staje, a przecieżem przeklęty od Boga i od ludzi — ciągnął dalej żebrak, któremu łkanie przerwało.

Siostra Dominika starała się różnemi stosownemi naukami pocieszyć rozpaczającego, namawiała go, by się wyspowiadał i t. p., lecz chory zdawał się tego wszystkiego nie słyszeć i sam z swemi myślami rozmawiać.

W tem zerwał się nagle, usiadł z wytężeniem sił na brudnej pościeli, ujął konwulsyjnie rękę zakonnicy i rzekł powolnym głosem:

— No, a gdyby mi Bóg miłosierny odpuścił, czy wy mi przebaczycie? O! pewnie nie! jam nietylko ludzkiego, ale i Bożego przebaczenia nie wart! O! wy mi nie przebaczycie!!!

Zdumiona tą niezrozumiałą dla niej mową żebraka, odpowiedziała siostra Dominika:

— Mówcie otwarcie o co idzie, a ja wam pewnie z całego serca przebaczę. — Z obawą i niedowierzaniem rzucił dziad swój błędnodziki zwrok na zakonnicę i odezwał się po niejakiej chwili namysłu i wachania:

— Przebaczycie,... przebaczycie,... więc słuchajcie! Patrzcie na ten krzyżyk, który jak kamień gniecie mi piersi, a którego zdjąć nie mam siły. O! panuńciu, wy ten krzyżyk dobrze znacie!!! — Tu odgiął mówiący brudną koszulę z piersi, a Dominika ujrzała złoty krzyżyk, w który się wpatrzywszy, zbladła jak ściana, drżała na całem ciele, a tchu jej w piersi zabrakło. Starzec nie zważając na to, mówił tak dalej: — O! ten to krzyżyk włożyła mi święta ręka waszej matki, gdym z moim dobrodziejem i panem, a waszym nieboszczykiem ojcem wyjeżdżał pierwszy raz do obozu, na mą podłą szyję. Panuńciu! panno Olgo! to ja stary Maciej, lokaj nieboszczyka waszego ojca. Ja to podły, przeklęty! który za tyle łask, za tyle dobrodziejstw, które mi wasi ś. p. rodzice dla mnie samego i dla moich dzieci świadczyli — złakomił się na obiecaną nagrodę za doniesienie gdzie się mój pan i dobrodziej znajduje — i zdradził go! Jam to nędzny doniósł moskalom, że pan w domu. Widziałem te kule, które piersi pana mego rozdarły, widziałem, jak padł na ziemię... o! widzę go! dzień i noc stoi mi przed oczyma!!! O! ja przeklęty!!! Panno, przebacz mi!... przebacz!... ulżyj mi!!!

Olga padła bezprzytomnie na kolana i klęcząc przy łoży zdrajcy, modliła się długo. Wstała, rzuciła załzawionym wzrokiem na niego — lecz dziad już nieżył.

HISTORJA KART.

Napisał dr. K.

Z szkolnych czasów przypominam sobie, jak ś. p. profesor Jan Rymarkiewicz, schwyciwszy gimnazjastów przy kartach, a chcąc im grę zbrzydzić, z zwykłą powagą tłómaczył, że karty wynaleziono dla rozrywki obłędnego króla francuskiego, Karola VI. (około roku 1395). Mylił się jednakże szanowny profesor, bo rychlej już ich używano w Europie. Cała zaś legenda ta powstała ztąd, że króla tego obłędnego zabawiano kartami, które już w XIII. wieku znanemi były w Europie. Mówią, że dla Karola je wykonał Jaques Gringonneur, a 17 egzemplarzy miało się z nich przechować w Paryżu. Znawcy jednakże orzekli, ze karty te pochodzą z połowy wieku XV. Są pięknie ozdobione, kolorowane i złocone, a przynajmniej trzy razy większe od dziś używanych.

Karty niezaprzeczenie wynaleziono na dalekim wschodzie, gdzie też miały kolebkę szachy. Niektórzy twierdzą, że początkowo były używane tylko dla wróżenia. Przeciw temu jednakże przemawia ich układ, na razie prawie ten sam, jak u szachów; również nazwy kart, zastosowano do nazw figur tej gry. Obie gry mają za cel walkę, obie są przedstawieniem bitwy, w której król, rycerze, konni i piechury biorą udział.

Początkowo używano na talię 36 kart w czterech kolorach, gdy przy szachach reprezentowane były tylko dwa. Kolory przedstawiać miały cztery stany. Pik oznaczał stan rycerski, a nazwa ta wywodzi się od pique = włócznia, lanca. Coeur wyobraża stan duchowny, od choeur; carreau, to oznaczenie dla kupców, bo wyraz ten wskazuje na djament. Stan włościański zaś symbolizowany został przez koniczynę, trifolium, trefl.

Król, rycerz i niżnik (wyżnik, walet, kubek) były wyobrażone w figurach, inne karty były tylko liczbowane, a nosiły nazwę prostych żołnierzy. W grze szachów prości żołnierze nazywają się pionkami, od pion, co oznacza piechura indyjskiego.

Francuzi, którzy i przy kartach przypominać sobie pragnęli płeć piękną, zamienili rycerza na damę, królowę i dodali asa. Rewolucja francuska, która zatrzeć chciała wszystko, co znienawidzonem trąciło królestwem i w kartach znów zaprowadziła zmianę. Znikli królowie, a ich miejsce zajęli geniusze wojny, pokoju, handlu i sztuki; królowe ustąpić musiały boginiom wolności. Walety, jako giermkowie dawnych rycerzy pozostać również nie mogli, a zastąpiono ich figurami, wyobrażającemi równość stanowiska, stanu, praw i obowiązków. Cesarstwo uznało znów zmianę obrazków na kartach za konieczną. Napoleon I. sam tą sprawą się zajął, sam słynnemu malarzowi Dawidowi polecił wykonanie szkiców na nowe karty. Naród jednakże cesarza w tym kierunku nie słuchał, nie chciał używać kart nowych, a nawraca szybko do używania przedrewolucyjnych, które dziś, prawie rzec można, na całym świecie służą nietylko do zabawy, ale i do niecnoty.

W Polsce mieliśmy karty co do układu takie, jakich wszędzie używano, wyobrażenia jednakże figur były inne. Tomasz Ujazdowski, przeglądając skrzętnie wnętrza okładek starych książek, jak nasz szanowny dr. Zygmunt Celichowski, któremu się przy mozolnych poszukiwaniach udało odnaleść najrzadsze druki, a nawet unikaty, natrafił w dwóch okładkach na nierozcięte arkusze kart. Książki drukowane były w roku 1582 i 1591, przypuścić więc można, że karty te pochodziły z czasu około 1500 r. Są to najstarsze znane karty polskie. Kolorowane drzeworyty przedstawiają w ubiorach polskich 4 królów na koniach, 4 niżniki i 4 tuzy. Innych kart nie było, co jednakże nie dowodzi, żeby istnieć nie miały. Introligator, albo ich więcej nie miał pod ręką, albo też oprawa była dość mocną i grubą i nie wymagała dalszego wykładania makulaturą.

Faktem jest, że niedługo po roku 1500 używano 36 kart na talię w czterech kolorach: dzwonkowym, też bunkowym zwanym, czerwiennym, winnym i żołędnym.

Że karty Ujazdowskiego mogły być drukowanemi około r. 1500 w Polsce, dowodzą odkryte zapiski, że w tym czasie w Krakowie żył i pracował Paweł Czyser, kartownik. Po nim w roku 1525 drukował tamże karty Benedykt, kartownik, Czy oni byli tylko specjalistami w odbijaniu kart drzeworytów, czy też inne druki wychodziły z ich oficyny, nie jest mi wiadomem.

Karty w tych czasach były już z zwykłego, ale grubszego papieru, Najstarsze karty, odnalezione w Genui, są z papieru bawełnianego, jakiego używali arabowie już w VII. wieku. Późniejsze karty są z papieru lnianego, a i z tych najstarsze odkryto we Włoszech.

Pierwotnie malowano karty odręcznie, a artyzm niektórych jest prawdziwie wielkim. W wiekach średnich zasłynęli głównie niemieccy malarze kart. Gust i sztuka w malowaniu kart, równie jak przy mszałach, doszły do wielkiego rozkwitu. Figury, zwłaszcza malowane często na złotym tle w kolorach karmazynowym i purpurowym, bywały arcydziełami sztuki. Ceny naturalnie takich kart były bardzo wysokie, a ztąd przystępne tylko bogatym. Stały się jednakże i przystępnemi dla mniej zamożnych, gdy około roku 1351 drzeworyty weszły w użycie, a jeszcze niższą stała się ich cena, gdy miedzioryty i staloryty znalazły także zastosowanie przy ich wytłaczaniu. Norymberga pierwsza zasłynęła z wyrobu dobrych i tanich kart i szedł z niej eksport na całą Europę. Warsztatami kart stały się dalej Ulm, Augsburg, Lipsk, Darmstadt, Mannheim, Frankfurt nad Menem i w końcu Stralsund. Ostatnie dwa miasta trzymają w tym kierunku dotąd berło, a Szwajcarja cała zalana do dziś dnia wyrobami z Frankfurtu nad Menem.

Zkąd prowadzi ślad rozchodzenia się kart po Europie, jaką drogą szły, jak do nas doszły, tej kwestji poświęcić nam wypada teraz słów kilka.

Najstarsze karty znane, jak wspomniałem, pochodziły z Włoch, tu też, jak się wykazało, najrychlej były w użyciu. Z Włoch przeszły karty do Niemiec w wieku XIII, a w wieku następnym gra niemi stała się już tak niebezpieczną, że roku 1321 biskup Gottfried z Wyrcburga zakazał duchowieństwu swemu „grzeszną“ grę w karty. Taki zakaz wydaje w sześć lat później kurfirst Balduin z Trewiru.

W tym samym czasie gra w karty przyjęła się w Anglii, a sami królowie mocno jej hołdowali. W rachunku króla Edwarda I. zapisano wydatek: „za grę w czterech króli“. Jak gra w karty się rozpowszechniła w krótkim czasie, dowodzi to, że parlament w roku 1464 zakazał wprowadzenia do kraju kart obcego wyrobu. Henryk VII. tak mocno grę w karty traktował, że pozostawił po sobie nie tylko renomę gracza, ale człowieka, który wielkie przegrywał sumy.

Podług niedawno odkrytego rękopisu, karty znane były we Francji już w r. 1340 Mylnie jednakże przypisywano francuzom wynalazek kart ztąd, że na kartach z figurami pomieszczoną być miała lilia. Na najstarszych jednakże kartach francuskich lilii nie ma, a zresztą emblemat ten już był używany przez rzymian, a w wiekach średnich zdobiono nim korony i berła cesarzy i królów.

Czy karty już przed rokiem 1500 w Polsce znanemi były, na to dowodów bezpośrednich nie ma, być jednakże musiały, bo już w ustawach cechów z wieku XIV znajdujemy zakazy grania w kości i karty. Ustawy cechów późniejsze wykazują, że gra w karty między rzemieślnikami, a zwłaszcza czeladnikami bardzo była rozpowszechnioną. Cechy niektóre zezwalały grać przy ograniczonych stawkach, dawały jednakże ścisłe przepisy, z kim dozwoloną była braciom mistrzom i towarzyszom ta zabawa. Zakazywano n. p. gry z butlami, t. j. woźnymi, policjantami jak dziś mówimy, ale zakazywano ją także z członkami innego cechu. Od tych butli wzięła nazwę w Poznaniu ulica Butelska, gdzie około połowy tego wieku jeszcze mocno kwitła szulerka w hotelu, dziś już nie istniejącym: „Pod złotym dębem“. Nie wiele lat później prym w tym kierunku zdobył hotel „Pod czarnym orłem“, a koniec tych gier stał się mocno tragicznym. Grano równocześnie w hotelu saskim, później paryskim: oba te hotele znikły już z horyzontu.

I autorów naszych, którzy o kartach wspominają, przytaczam choć kilku: Górnicki, Jan Kochanowski, Mikołaj Rej, Klonowicz, później Kitowicz, Krasicki.

Stęplowanie kart, czyli opodatkowanie ich datują w Polsce od roku 1775. W tym roku bowiem wyszedł nakaz używania stęplowanego papieru do kontraktów, podań do władz, nominacyj, świadectw, kart, kalendarzy i każdego egzemplarza książek, drukowanych w języku hebrajskim.

Nie zawadzi pewno jeszcze w końcu przypomnieć nazwy gier w karty, w Polsce używane, których część już ich nieznana, część zaś dotąd się przechowała. Najdawniejsze gry nazywały się chapanka, albo chap, tryszak, albo straszak. Kochanowski przytacza grę rumel zwaną. Później grano w ćwika, marjasza, pikietę, w kwindecza, onze et demi, wentunia — vingt un, tak zwane tryselką zwanego, makao i faraona. Za Jana III. najwięcej grywano w reversi, z włoskiego reversino. Był whist, écarté, ale i loterja w karty, a nadto szust, pszczółka, brylant, kałabrak, poch, szymel, szamszurek. Faraon stał się najulubieńszą grą za czasów stanisławowskich, musiał hazard także rozkwitnąć. Grano szalenie, a przegrywano wielkie sumy, bo po 50,000 dukatów na jeden wieczór. Wsie, majątki całe przechodziły z rąk do rąk, a lekko i nieuczciwie najczęściej nabyty grosz, szybko opuszczał kieszeń szczęśliwego gracza. W braku gotówki stawiano na karty klejnoty i mniej cenne przedmioty, a podobno doszło do tego, że zapalony gracz żonę na bubka postawił i prze-

grał. Czy wygrywający nabywca tej tak lekko postawionej stawk, cieszył się z wygranej, o tem historja milczy. W każdym razie si non é vero, é ben trovato.

Czego nam się od pszczoły potrzeba nauczyć.

Odczyt miany przez P. Cienciałę, na posiedzeniu Kółka pszczelniczo-ogrodniczego na Szlązku.

Ze wszystkich owadów, pszczoła ze względu na ogromny pożytek człowiekowi przynoszący, zasługuje na nasze podziwienie i szczególną troskliwość. Mamy też pełno w piśmie św. starego Zakonu wzmianek o miodzie. Pszczoła takie podziwienie budziła w starożytnym świecie, że przypisywali jej rozum i wierzyli po swojemu, jakoby cząstka jakiejś duszy wszechświata w jej ciele mieszkała.

Pszczoła daje nam wzór cnót obywatelskich. Słusznie też sławią pracę mrówek i wskazują próżniakowi mrówkę za wzór pracowitości, ale stokroć cenniejszą jest pilność pszczół, porządek, zgoda i podziwienia godna mistrzowska praca. Żyje ona z drugimi tworząc społeczność, która zowie się rojem. Czem jest rój pszczół? Oto pracą zapobiegliwą, a bezustanną, w której pełno ładu, porządku, zgodności i miłości przedziwnej. Życie pszczoły jest ciągłą pracą, od kolebki aż do grobu. Jak kula wpada w oczko jedna, druga i dziesiąta, cisnąc się jedna przez drugą, a każda obładowana obfitym plonem z pola. Tą pracą znoszenia z pola miodu, pyłku kwiatowego i wody, pszczoły przez cały dzień są zajęte bez wytchnienia, a co najwięcej podziwienia godne, że pszczoły tę wszystką pracę dzielą pomiędzy siebie zgodnie, bez rozkazu, bez przymówki, słowem, w ulu wszystko pracą żyje. Nietylko pracę u pszczół podziwiać nam się godzi, lecz i oszczędność, że szanują swój dorobek. Rozlej choć odrobinę miodu, a zaraz nań rzuci się cała gromada i zliże tak, że ani śladu rozlania niepozostaje. Także zaniepokojone rzucają się na komórki miodu, z obawy, że im się zabierze ich zapasy.

Przedewszystkiem matka w roju doznaje szczególnych względów. Nietylko, że ją żywią obficie pokarmem najwyborniejszym, kiedy w ulu dostatek, lecz i czasu głodu, n. p. zimą, gdy z głodu cały rój umiera, ostatni kawałek miodu jest jeszcze dla matki i ona z garstką pszczół żywą się jeszcze znajduje. Pszczoły mają przedziwną miłość ku sobie samym i nie masz między niemi samowoli, pychy, zarozumiałości, lub chęci wynoszenia się. Niechaj pszczoła, która będąc w niebezpieczeństwie zawoła o pomoc, to jak grad posypią się drugie, ścigając i odpędzając napastnika. Nic nie może iść w porównanie z tą zaciekłością, z jaką pszczoły się bronią wzajemnie i ścigają wroga. Nawet Pismo św. używa porównania: „I gonił was Amorejczyk, jak zwykły gonić pszczoły“, a u Psalmisty: „Obstąpili mnie nieprzyjaciele, jak pszczoły.“ Pszczoła w obronie każdej swej towarzyszki, w obronie całości, spokoju i bezpieczeństwa roju całego, bez namysłu oddaje swe życie, gdyż z żądłem utraconem prawie zawsze wysnuwają się z niej wnętrzności, co powoduje śmierć. Zguba jednej nie ustraszy i nie odstręczy drugich, z powodu ukłucia rozlany jad jednej pszczoły, rozwścieka drugie, tak że wszystkie w to samo miejsce ostrym godzą kolcem, ginąc w obronie domu i narodu swego. Naród ludzki, to też jakoby rozrojony pień, co początek swój wiedzie gdzieś z daleka, bo aż z raju. Rozroił się w rozliczne narody i pokolenia, w niezliczone rody i rodziny, w gminy, wsie i miasta, w przeróżne społeczeństwa wielkie i małe. I te przeróżne roje ludzkiego plemienia, stoją temi samemi zaletami, co każdy rój pszczeli. I ludzkiemu społeczeństwu, czy ono zowie się narodem, czy pojedynczą rodziną, potrzebne są te same cnoty społeczne: pracowitość, oszczędność, zgoda i miłość. Bez nich i najpotężniejsze państwa runą, narody się rozproszą, bez nich i najmożniejsze rodziny zmarnieją. W wieluż to wypadkach, pszczoły zawstydzają ludzi!

Hodowla pszczół jest potężną dźwignią do uszlachetnienia ludu, do wykształcenia serca, duszy i umysłu człowieka. O moralnem wpływie hodowli pszczół powiada niemiecki pszczelarz Baron Berlepsch bardzo trafnie: „Jest to faktem udowodnionym i przez nikogo niezaprzeczonym, że pszczelarze, z nader rzadkimi wyjątkami, są ludźmi dobrymi i uczciwymi. Jasną to rzeczą — bo hodowla pszczół przedstawia coś tak czystego, tak wzniosłego i szlachetnego, że dusze brudne nie chcą się jej wcale imać. Ale hodowla pszczół uszlachetnia i kształci pilnych i spokojnych obywateli. Znam wielu, którzy zanim zajmowali się pszczelnictwem, każdą wolną godzinę obracali na to, aby przesiadywać w karczmie, pić, w karty grać, albo też popisywać się nierozsądnemi politycznemi rozumowaniami. Odkąd atoli poświęcili się pszczelnictwu, są ludźmi porządnymi, przebywali chętnie w domu wśród swych rodzin, pokochali dom i pracę.“

W jednym tylko wypadku rój pszczół zapomina o wrodzonej sobie pracowitości, nie znosi pożytku z pola, nie ciągnie woskiem, nie czyści komórek, zapomina o wrodzonej oszczędności, zjada wszystkie zapasy i pozwala je obcej wynosić pszczole; zapomina o wzajemnej miłości, nie staje w obronie własnego domu, nie stawia oporu rabusiom, a to wtedy, kiedy stracił matkę i nie ma sposobu wychować sobie innej, a więc gdy już zwątpił o swoim własnym bycie. Nie bądźmy jak zrozpaczony rój w rozsypce, lecz krzepmy swą własną rodzinę i naród przez wierne wykonywanie cnót społecznych: pracowitości, oszczędności, zgody i miłości. *P. C.*

Wiosna.

...I rzekł Bóg do służebnicy Swojej: wstań ze snu długiego, przyoblecz się w szatę godową i ukaż się ludom Moim, jako oblubienica czysta, aby się tobą cieszyli. — I posłuszna ziemia, posłuszna przyroda zbudziły się ze snu zimowego i okryły się szatą nadziei, przyoblekły się w wonne i piękne kwiaty, aby się ich widokiem serca ludzkie cieszyły. — Matka — rodzicielka nas wszystkich, zbudziwszy się z letargu, rzuciła w świat tchnienie wielkiej, przedziwnej miłości. Strojna w kwiecie, czysta i wonna powstała, jako młoda oblubienica i mówi do nas: weźcie mnie, ja was wszystkich równo kocham. — I zaszumiały drzewa świeżym i wonnym obsypane kwiatem, a przybrane w zieleń pola i łąki — lutniści leśni, co niedawno temu jakby przestraszeni ogólnym letargiem, pieśń w sobie tłumili, rozkwiliwszy się, zaśpiewali wielki hymn miłości. Skowronki w w niebiosach, ptacy leśni po lasach, słowiki po ogrodach i jaśminach nucą dziś, jakby na podziękę i chwałę Bogu, a nam na znak, że wróciło w przyrodzie życie nowe, swoboda, ciepło i miłość.

Miłość! Okazuje się ona w jedności! Tę jedność w przyrodzie stworzyła nam wiosna, tchnąc we wszystko żądzę nowego życia, żądzę czynu, nienawiść do bezczynu. Dość długo spałaś, wstań i bądź czynną, bo wielka cię jeszcze czeka praca. Tak mówi wiosna do przyrody, tak do nas przemawiać powinien obowiązek. My polacy, którym losy nieprzyjazne tak trudny byt zgotowały — przebudziliśmy się już niejako do czynu, ale w tem wszystkiem podobni jeszcze jesteśmy do dziecka zbudzonego rankiem, a pytającego się: czy czas już? — O czas, czas i to wielki już czas, abyśmy pracowali nad tem, co Bóg jednem słowem tchnął w przyrodę, nad jednością, nad jedną wolą dążenia do upragnionego celu, nad miłością, coby nas wszystkich jednym wielkim i nierozerwalnym otoczyła łańcuchem.

Nasz wieszcz największy, Adam Mickiewicz, w nieśmiertelnej swej odzie „do młodości“ powiedział: „zestrzelmy myśli w jedno ognisko i w jedno ognisko duchy“, a tem ogniskiem niech nam będzie ta miłość wspólna i braterska, ta wielka miłość, skupiająca się na naszej nieszczęśliwej ojczyźnie, a wtenczas, kiedy potężnym zawołać będziemy mogli głosem: **„jesteśmy jedni“**, o wtenczas, niczego już się obawiać nie będziemy potrzebowali. W jedności bowiem tylko siła, a tylko praca nią kierowana, błogie przynieść może skutki.

Bóg cię stworzył polakiem. Bóg też chce, byś nim pozostał, a prawym polakiem pozostaniesz tylko wtenczas, jeżeli kochać będziesz język ojców twoich, jeżeli szanować będziesz spuściznę po nich otrzymaną, jeżeli szanować będziesz samego siebie, a pracę poświęcisz na dobro własne i dobro całego społeczeństwa polskiego. Pracy więc każdy z nas ma wiele, tem więcej wobec licznych przeszkód, stawianych nam przez naszych najserdeczniejszych.

Aleć — była zima, były lody, śniegi i zawieruchy, a jednak za wolą Boga przyszła nam dzisiaj ciepła i świeża wiosna. Pracujmy nad sobą, dla siebie i dla wszystkich, nie zapominajmy o „jedności“, a wtenczas z tem większą zawołać będziemy mogli nadzieją razem z wieszczem Adamem:

Pryskają nieczułe lody
I przesądy światło ćmiące —
Witaj jutrzenko swobody!
Zbawienia za tobą słońce!

Ptaki jako barometry.

Znanem jest powszechnie, że wiele ptaków służy ludowi wiejskiemu, jako żywe barometry w przepowiadaniu różnych zmian temperatury. Również i ornitologowie, którzy przez szereg lat badali życie i obyczaje ptaków, przypisują niektórym gatunkom własność przepowiadania zmian pogody i tłumaczą to następującymi powodami: Żadne ze stworzeń nie posiada tak gorącej krwi, jak ptaki, tak szybkiej przemiany pokarmów na krew i nie potrzebują tak dużo powietrza, gdyż nie tylko ich płuca wchłaniają powietrze, ale wiele miejsc pustych w ciele, pióra, jak i znaczna część kości ptaków są niem wypełnione. A więc bardzo to jest naturalnem, że zmiany pogody, powstając wskutek większego, lub mniejszego ciśnienia powietrza, wywierają taki wpływ na lot i zachowanie się ptaków, które tyle powietrza w swym organizmie posiadają, że mogą stanowić dokładniejsze nieraz wskazówki od najlepszych barometrów. I tak np. proroctwo koguta domowego pod tym względem nie jest do pogardzenia: gdy pieje on bardzo wcześnie zrana, wtedy można być pewnym pięknej pogody, a przeciwnie, skoro się odzywa po południu, oznacza zmianę pogody. Kiedy gęsi i kaczki często zanurzają się w wodzie, następuje potem powietrze dżdżyste i również, gdy nad brzegiem stawu czyszczą i układają swe pióra, oznacza to długą słotę. Utrzymują, że paw przed słotą wzlatuje na wysokie mury i dachy budynków i głośnym krzykiem przepowiada zmianę. Bociany np. mają tę właściwość, że przed burzą odwiedzają swe gniazda w niezwykłych godzinach i ciągle je naprawiają. Wróble przed nastaniem dużych mrozów wygładzają i czyszczą swe upierzenie. Dzięcioł przed niepogodą zdradza rozdrażnienie i staje się osowiały, a to samo można powiedzieć i o srokach, które przeciwnie wobec pięknej aury podwajają swą zwykłą żywość i różne figle. Gdy zaś w czasie największej ulewy da się słyszeć głos wilgi, lub sowy, wtedy można napewno wróżyć, że się wkrótce zupełnie wypogodzi.

Lekarz bezpłatny.

Najlepszym lekarzem — i to bezpłatnym — jest dla nas przyroda, jak wyszła z ręki Boga. W niej możemy zawsze znaleść pokrzepienie dla ducha i ciała.

Widok pogodnego, błękitnego nieba, zieloność pól i woń lasów, więcej uspakaja wzburzony umysł i rozdrażnione nerwy, niż jakiekolwiek środki apteczne. Mała stosunkowo ilość świeżego czystego powietrza bardziej nas posila, niż najwyborniejsze wino, napój iście królewskim zwany, rozumie się w dawce umiarkowanej.

Ciepło i światło naszej gwiazdy dziennej — słońca — nie mogą snadnie zastąpić wszystkie sztuczne a modne dziś środki trujące, gdy równowaga zdrowia się zachwieje;

cóż dopiero powiedzieć o działaniu tego światła i tego boskiego ciepła na ustrój zdrowy?!

Zaprawdę, człowiek — jak ów starożytny mędrzec — powinien żyć jak najwięcej w słońcu i dobrem powietrzu, a strzedz się jak ognia długiego sypiania rannego, zbyt ciepłego ubierania się, ciągłego pozostawania w mieszkaniu, choćby najhygieniczniej urządzonem, obok niezachowania potrzebnej wstrzemięźliwości w potrawach i napojach; wszystko to bowiem sprowadza zaburzenia krwi i jej skład nieprawidłowy, będący początkiem osłabienia i wszelkich chorób. Wiadomo, iż ubranie powinno być przewiewne, a mieszkanie napełnione świeżem powietrzem, zwłaszcza podczas snu, Wyziewy nieczyste śpiących nikną pod wpływem czystego, świeżego powietrza, a ustrój może się podostatkiem zaopatrzyć w tlen do pracy dnia następnego. Ludzie sypiający w powietrzu dusznem, stają się ociężali i najczęściej pokaszlują w ciągu dnia i inne z biegiem czasu sprowadzają sobie szkodliwości. Zwyczaj otwierania okna w sypialniach w dostatecznej odległości od łóżka na noc całą powinien być powszechnym.

Jednym z najbardziej niezbędnych warunków zdrowia, tak dla człowieka, jak i dla każdej innej istoty organicznej, jest p o k a r m n a t u r a l n y.

Wielu mniema, iż mięso jest najpożywniejszem pokarmem. Tymczasem spożywając mięso często i bez wyboru, człowiek tylko nagromadza w sobie dużo materyj chorobotwórczych, człowiek tyje, ale sił i odporności należytej nie nabiera. Zalecanie niemal powszechne mięsa — w warstwach zamożniejszych i t. zw. inteligentnych — (na szczęście u nas lud zachował popędy naturalne) stoi w sprzeczności a) z najnowszemi badaniami fizjologji, anatomji porównawczej i chemji fizjologicznej, b) z doświadczeniem wiekowem ludów i c) wreszcie z filozofią samej przyrody.

Jak nie mamy róż bez cierni, tak nie ma czystego powietrza bez burzy. Ciernie chronią krzak róży od napastnika, burza oczyszcza powietrze od psujących ją naleciałości i ożywia całą przyrodę. Burza w ustroju jest chorobą, która czyści krew i odnawia siły, a n i e zabija, skoro kierujemy się n a t u r a l n y m s p o s o b e m ż y c i a.

W tych warunkach każdy może dożyć prawdziwej starości — wieku sędziwego, a i śmierć nie będzie dlań straszną, bo nie nastąpi wśród gwałtownych przewrotów ustroju, ale wśród objawów naturalnego wygaśnięcia sił, wedle praw odwiecznych Stworzyciela.

Życie kochać, starając się bezustannie o zdrowie, a śmierci się nie bać — jest wzniosłem i prawdziwie godnem zadaniem każdego człowieka. Ożywiająca się obecnie przyroda, niech nam będzie pobudką do należytego spełnienia tego zadania!

Przemysł cukrowych buraków
w Ameryce.

Nie ma z pewnością drugiego narodu na świecie, któryby tak wiele spożywał cukru, jak amerykański. Obliczono, że na jedną głowę przypada 65 funtów cukru w jednym roku. Ponieważ ludności w Stanach Zjednoczonych jest 75,000.000, przeto potrzeba tu rocznie około 5,000,000.000 funtów cukru, albo 2,500.000 ton.

Prawie wszystek ten cukier sprowadzony bywa z zagranicy, a mianowicie z Francji, Niemiec, Austrji i innych krajów. W róku 1897 zapłaciły Stany Zjednoczone około 100 miljonów dolarów zagranicy za cukier.

Chociaż w południowych Stanach uprawiają trzcinę cukrową, nie wystarcza jej uprawa na zaopatrzenie całego kraju w cukier. Dlatego rząd amerykański i przemysłowcy łamią sobie od niejakiego czasu głowy nad zadaniem, w jaki sposób rozpowszechnić fabrykację cukru w Ameryce? Okazuje się, że na trzcinę cukrową nie można już liczyć w cukrzanym przemyśle. Najnowsze badania naukowe i praktyka życiowa wykazały, że burak stanowić będzie przyszłość wytwórczości cukrowej. Na tę drogę wstąpiły już kraje europejskie, które wytwarzają w wielkiej ilości buraki, a z nich cukier. Tak się dzieje w Niemczech, Rosji, Francji, Austrji i gdzieindziej.

W podobny sposób wzięto się już do dzieła i w Stanach Zjednoczonych. Ministerjum rolnictwa w Washingtonie pracuje wszystkiemi siłami nad doszukaniem się najlepszego gatunku buraków, jak również nad wytknięciem najlepszych sposobów wytwarzania tej rośliny i wyrabiania z niej cukru. Władze stanowe także wzięły tę sprawę do serca i oto dziś doszło do tego, że uprawa buraków w Ameryce już się rozpoczęła, a za nią nastąpi i fabrykacja.

Do tej pory trudnią się już z powodzeniem uprawą buraków farmerzy Stanów: Nebraska, California, Nowy Meksyk, Colorado, wreszcie Illinois (Pekin-Peoria) i Wisconsin.

Osobliwie w stanach Wisconsin i Minnesota próby sadzenia buraków cukrowych powiodły się nadzwyczaj świetnie. Otrzymane okazy z tegorocznego zbioru wykazują wielką ilość cukru w burakach, a następnie dowodzą, że grunt we Wisconsinie i Minnesocie nadaje się doskonale pod uprawę buraków. Przemysłowcy i wyżsi urzędnicy zapowiadają wielką przyszłość dla przemysłu buraczanego, szczególnie dla tych dwóch Stanów.

Ze względu, iż tak w Minnesocie, jak i Wisconsinie znajdują się tysiące polskich farmerów, przeto zwrócić należy ich uwagę na ważność tego nowego produktu. Władze stanowe w Madison, Wis., dają wszelkie wskazówki żądającym farmerom.

Jednocześnie z rozpoczęciem uprawy buraków, powstają i fabryki cukru w okolicach buraczanych. Tak naprzykład w St. Louis-Park, niedaleko od Minneapolis, Minn., założono fabrykę, w której przerobiono wszystkie buraki, zebrane w Minnesocie, na cukier. Już pierwszy rok okazał świetne rezultaty w fabrykacji.

We Wisconsinie powstała także fabryka cukru, ale zbankrutowała z powodu braku kapitału. Trzeba bowiem wiedzieć, że fabryka cukru wymaga wielkiego funduszu zakładowego. Na maszyny i zabudowania potrzeba około 350,000 dol., a na rozpoczęcie pracy i zakup materjału trzeba około 150,000 dol. Kto więc nie ma pół miliona dolarów, nie warto mu rozpoczynać tego kosztownego przedsiębiorstwa.

Fabryki cukru w Norfolk, Nebraska, puszczone są w ruch już od kilku lat i przynoszą świetne zyski. Wydały one na rynek już spory zapas cukru, wyrobionego z buraków, zebranych przez tamtejszych farmerów. Jak agenci zapewniają, a z nimi i gazety, farmerzy z Nebraski są bardzo zadowoleni z uprawy buraków. Nieinaczej będzie i z naszymi wieśniakami z Wisconsinu, gdy tylko rozpoczną uprawę.

Donna — danno.

Włochy nie znają, rzec można, ruchu kobiecego, który szerzy się tak skutecznie w Niemczech, Anglii i Francji. Przed laty, signora Paola Schiff utworzyła na półwyspie Apenińskim włoską ligę kobiecą, obecnie zaś dr. Maria Montessori stara się o rozdmuchanie ambicyj feministycznych w duszach swych współobywatelek. Wszystko napróżno! Nawoływania do ruchu kobiecego są we Włoszech głosem wołającego na puszczy.

Dlaczego? — Dlatego, że 1) włoszka nie chce należeć do „rodzaju czwartego“; 2) włoszka chce wyjść zamąż, i to koniecznie; 3) włoszka ma widoki wyjść zamąż, bo w kraju, gdzie cytryna dojrzewa, rodzaj męzki przewyższa liczebnie rodzaj żeński; 4) włoch chce się żenić i bardzo rzadko oddaje się kultowi starokawalerstwa.

Przytem, młode włoszki są piękne; młode, nie stare, bo stare bywają ohydne. Przysłowie włoskie mówi: „Która urodziła się piękną — urodziła się zamężną“. Najpiękniejsze niewiasty rodzą się podobno w okolicach Pawii, starożytnej stolicy lombardzkiej, gdzie jasne włosy kobiet są może pozostałością po praojcach germańskiego pochodzenia. Ktoby zaś szukał danych o szczegółach piękności włoskiej, niech wie, że najczystszy profil mają kobiety z okolic Sienny, najpiękniejszy biust — Wenecji, najbardziej ogniste oczy — Florencji, najcudowniejsze brwi — Ferrary, najdelikatniejszą płeć — Bolonii, najkształtniejsze ręce — Werony, najpiękniejsze zęby — Neapolu, najdumniejszą postawę — Rzymu, największym wdziękiem odznaczają się kobiety medjolańskie.

Ale najpiękniejszą jest włoszka, gdy natura obdarzy ją blond włosami.

Occhio nero e capel biondo
La piu vaga di questo mondo.

„Najpiękniejsza na świecie ma czarne oczy i blond włosy!“ — śpiewa poeta, bo włosy jasnozłociste nadają mieszkance Italii dziwny jakiś urok, wdzięk, a zarazem powagę. Wszystkie słynne piękności świata grecko-włoskiego były i są blondynkami, od Afrodyty, Wenery i Heleny trojańskiej, aż do „najpiękniejszej na tronie“ królowej Małgorzaty. Za czasów Cezarów, kobiety rzymskie, którym natura odmówiła naturalnej ozdoby głowy, pożyczały jasno-złocistych włosów od niewolnic germańskich. Za czasów najwyższego rozkwitu Wenecji, farbowały sobie wenecjanki włosy na tycjanową barwę jasną, tak, że na malowidłach mistrzów weneckich znajdziecie prawie zawsze blondynki. I dla tego właśnie mieszkanki okolic Pawii uważane są we Włoszech za najpiękniejsze, bo tam jasne sploty włosów otaczają przeważnie główki o cerze, ozłoconej zlekka gorącemi promieniami południowego słońca.

Ale to, co natura dała, psuje zazwyczaj włoszka niesmacznem ubraniem.

Le donne, quasi tutte
Per farsi belle si fan brutte.

„Chcecie się ozdobić, a szpecicie się“ — woła do włoszek znany wierszyk, a szpecą się włoszki przeważnie tem, że za dużo chcą naraz włożyć na siebie. Brak im poczucia prostoty, „stylu“ w ubraniu, a przytem barwy krzyczące i przeładowanie sukni dodatkami, koronkami, wstawkami i t. p. czyni je wprost nieznośnemi dla oczu cudzoziemca, obdarzonego jakiem takiem pojęciem o guście. Skłonność do zbytku w stroju odziedziczyły włoszki jeszcze z czasów, gdy Rzym był najbogatszem państwem na kuli ziemskiej. Skłonność ta dała w wieku XV. powód do pierwszego i ostatniego podobno we Włoszech „ruchu kobiecego“. Legat papiezki w Bolonii, kardynał Vassarione, wydał rozkaz, aby wszystkie stroje i kosztowności niewiast bolońskich przedstawione było osobnej komisji, przezeń wyznaczonej do oszacowania, czy klejnoty odpowiadają stanowi zamożności ich właścicielek. Jeżeli tak — miały być stemplowane, coby dało właścicielce możność ich używania; jeżeli nie — komisja odmawiała stempla i niewiasta stroju nosić nie mogła. Ale piękne bolonki powstały „jako jeden mąż“ przeciwko drakońskim rozporządzeniom legata rzymskiego.

Pod wodzą hrabiny Niccolasa Sanuti posłały gwałtowny protest do Rzymu, tak gwałtowny, iż legat cofnąć musiał rozporządzenia. A damy bolońskie dały wówczas folgę zbytkom tak jaskrawym, że jedna po drugiej rujnowały męża. Iluż bolończyków złorzeczyło wówczas niepowodzeniu zabiegów legata!

W miłości włoszka nie jest stałą — kocha tylko trzy lata. Za to, gdy przestanie kochać, strzeż się strzeż! „Donna — danno“, mówi przysłowie, „kobieta — nieszczęście“, a drugie jeszcze przysłowia dodaje: „Chi ha moglie, ha doglie“...

Biedni ci włosi, choć mają cudne mieszkanki Pawii ze złocistymi tycjanowskimi włosami. Tylko trzy lata!...

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni M. Schmitta i Sp. pod zarządem St. Piotrowskiego.